

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 2150·— Mk., z przes. 2470·— Mk. Półrocznie 4940·— Mk. Rocznie 9880·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 200 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 7 października 1922. Nr. 40.

Straszny czyn zwyrodniałej matki



Apolonia Pozor zakopuje żywcem na cmentarzu swą sześciotygodniową córeczkę.

TRESC NUMERU: Straszny czyn zwyrodniałej matki. — Nowy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. — Ze sceny bydgoskiej. — Zgon zacnego filantropa. — Nad Bosforem. — Powtórne małżeństwo ex-cesarza Wilhelma. — Krzyżacka pycha i jej poskromienie. — Co się dzieje z carskimi klejnotami koronnymi. — Z teatrów i t. d. i t. d.

OD WYDAWNICTWA.

Z bieżącym numerem rozpoczynamy czwarty kwartał r 1922. Upraszamy zatem o nadsyłanie przedpłaty na nasze pismo, kto jej bowiem do dnia 10 października b. r. nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Przedpłata wynosi:

kwartalnie . . . 2150 Mp.

z przesyłką poczt . 2470 „

Straszny czyn zwyrodniałej matki.

(Do illustracyi tytułowej).

Niemcy uważają się wprawdzie za naród, który osiągnął już szczyt kultury i ma ją nieść między inne, nie brak jednak i u nich rozmaitego rodzaju zabobonów i przesądów, nie licujących bynajmniej ani z kulturą, ani z postępem. Wytyka się obcym ich zacofanie, ale pomija się milczeniem to, co się dzieje w państwie „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów".

Jednym z takich zabobonów, utrzymujących się do dnia dzisiejszego wśród warstw mniej oświeconych, jest pochodzący z czasów jeszcze pogańskich, iż nie jest bynajmniej karygodnem, jeśli matka pozbawi życia swe nieślubne dziecko, zakopując je żywcem w noc księżycową na cmentarzu poza krzyżem grobowym. Straszny ten i nieludzki przesąd żyje do dnia dzisiejszego wśród niemieckiego ludu, a od niego przedostał się i między sąsiadów, najbliższą z nim styczność mających.

Na tem tle rozgrywał się w tych dniach przed berlińskim trybunałem proces niejakiej Apolonii Pozor, pochodzącej z Górnego Śląska, a oskarżonej, iż swą sześciotygodniową córeczkę zakopała żywcem na cmentarzu. W śledztwie stwierdzono, że pewnej księżycowej nocy wyszła Pozorówna wraz z dzieckiem z domu, zaopatrzywszy się poprzednio w łopatę. Po jakimś czasie wróciła, ale już sama, co u domowników wzbudziło podejrzenie, że w jakiś karygodny sposób pozbyła się dziecięcia. Zawiadomiono władzę, wobec której wyrodna matka przyznała się do spełnienia strasznej zbrodni, tłómacząc się niemożnością wychowywania niemowlęcia i powołując się na ów zabobon, o którym od ludzi słyszała. Stawiono ją zatem przed sądem, tutaj jednak zaprzeczyła swym poprzednim zeznaniom, złożonym w śledztwie. Ponieważ stan jej umysłu wydawał się trybunałowi niezupełnie normalny, poddano Pozorównę badaniu lekarskiemu, a specyalista berliński Forster, orzekł, że jest to osobnik zwyrodniały pod wpływem chronicznej choroby mózgowej, wykluczającej poczytalność, a zatem i karygodność popełnionego czynu. Na podstawie tej ekspertyzy uwolniono oskarżoną od winy i kary.



Nowy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego: Prof. dr. Władysław Natanson.

Nowy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dotychczasowy rektor Almae Matris uczony profesor Stanisław Nowak, powołany został na jedno z pierwszych stanowisk w Rzeczypospolitej.

Osierocenie Uniwersytetu krakowskiego nie trwało długo, bo oto 27. b. m. zebrał się Senat akademicki w godzinach przedpołudniowych i dokonał wyboru nowego rektora.

Wybranym został jednomyślnie prof. dr Władysław Natanson.

Nowy rektor należy do pierwszych luminarzy nauki i jako wielki uczony jest prawdziwą chlubą kraju.

Syn Ludwika, słynnego warszawskiego lekarza i przyrodnika, urodził się Wł. Natanson w r. 1864 w Warszawie, gdzie też skończył gimnazyum, a następnie studyował fizykę i matematykę w Petersburgu i Cambridge. Uzyskawszy w Dorpacie stopień doktora fizyki habilitował się w r. 1891 na Uniwersytecie Jagiellońskim, a w r. 1899 został rzeczywistym profesorem fizyki matematycznej.

Gdybyśmy chcieli wymienić tytuły dzieł wyszłych z pod pióra wielkiego uczonego powstałby cały indeks nieocenionych prac i rozpraw.

Są to poważne dzieła i studya z zakresu matematyczno-przyrodniczego, których doniosłość dla nauki specyaliści tylko mogą należycie ocenić.

Pomimo wysokiej swej wiedzy i prawdziwego kapłaństwa nauki, prof. Wł. Natanson nie gardził pouczaniem młodzieży. Jemu zawdzięczamy z tej dziedziny znakomity „Wstęp do fizyki teoretycznej" (dzieło nagrodzone przez Komitet Kasy im. Mianowskiego) i czysto już szkolny podręcznik: „Wiadomości z nauki fizyki". Nowy rektor umieszczał swe prace zarówno w polskich jak niemieckich i francuskich naukowych publikacyach, a nazwisko jego jest znane i cenione w świecie naukowym.

Na wydziale filozoficznym w r. 1907 — 8 był Wł. Natanson dziekanem.

Ze sceny bydgoskiej.

Najważniejszy bastyon polskości na kresach zachodnich, stotysięczna Bydgoszcz wznosi wysoko sztandar kultury narodowej. Dowodem tego zapał i pietyzm, jakim miasto to otacza od lat trzech swój Teatr Polski.



Ze sceny bydgoskiej: Zespół artystów Teatru Polskiego.

Na bieżący sezon teatr ten gmina umiastowiła i prowadzi go pod własnym zarządem. Dyrekcya powierzono młodemu, ale utalentowanemu artyście, p. Józefowi Karbowskiemu. Jest to dobry znajomy Krakowa, bo tu się w r. 1888 urodził, tu ukończył szkołę dramatyczną M. Przybyłowicza i tu też stawiał swe kroki scenicznie. Zaangażowany w r. 1920 przez p. Siemaszkową na scenę bydgoską, odtworzył tu cały szereg pierwszorzędnych ról, które go uczyniły ulubieńcem tutejszej publiczności. Pozatem dał się też poznać jako b. utalentowany reżyser. Kiedy pierwsza kierowniczka polskiej sceny w Bydgoszczy, p. Wanda Siemaszkowa, ustąpiła, gmina bez wahania powierzyła to trudne i odpowiedzialne stanowisko p. Karbowskiemu.



Ze sceny bydgoskiej: Józef Karbowski, dyrektor Teatru Polskiego.

Sezon rozpoczęto tragedyą Słowackiego „Beatrix Cenci". Wystawieniem tej trudnej, a wymagającej dużej obsady rzeczy, młody dyrektor dowiódł, że zasłużył na okazane mu zaufanie. Trupa, którą udało mu się skompletować, okazała się godną wprost stołecznej sceny. Dużo w niej nieprzeciętnych talentów, dużo zapału i pracowitości.

Skład jej stanowią pp.: Jozef Cornobis, Witold Dowgird, Franciszek Dreczkowski, Kazimierz Gawlikowski, Leon Jaroszyński, Stanisław Jaworski, Józef Karbowski, Lech Madaliński, Jan Mazanek, Stefan Morozowicz, Tadeusz Morozowicz, Jan Mroziński, Tadeusz Łuczak, Józef Puchalski, Jan Rozwadowicz, Stefan Sipiński, Ludwik Stefański, Feliks Sydor, Edmund Szafrański, Kazimierz Warmiński, Antoni Wasilewski (sufler), Stefan Zborowski. Pp.: Halina Bogucka, Antonina Dunajewska, Wiktorya Elertowiczowa, Stanisława Karbowska, Marya Marszycka, Natalia Morozowiczowa, Helena Pilatti, Marya Płonowska, Marya Rozwadowiczowa, Zofia Sławińska, Marya Szaniawska, Amelia Szymańska, Zdońka Topolska, Eugenia Wasilewska (suflerka), Marya Wnorowska, Marya Zahorska. Dekoratorem teatru jest znany artysta malarz p. R. Czaplicki, Krakowianin.

Życzymy scenie narodowej w Bydgoszczy, tej do niedawna niemieckiej kuźni hakatyzmu, by pod wodzą p. Karbowskiego była tą świątynią ducha narodowego, jaka tam jest niezbędną i na którą oczy całej Polski z wielką troską wciąż będą zwrócone...

Cajus.

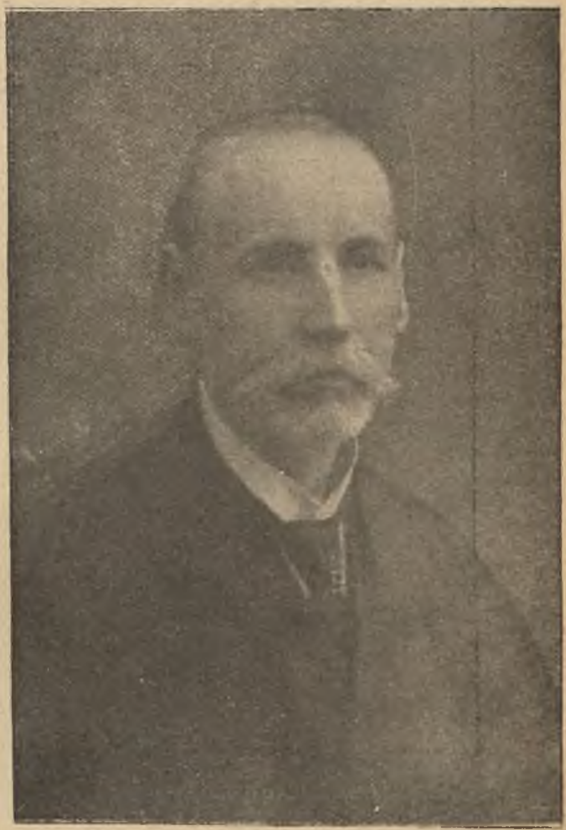
Zgon zacnego filantropa.

W dniu 27 września zmarł w Krakowie jeden z najwybitniejszych przedstawicieli naszego świata finansowego, śp. Mieczysław Ostoja Sędzimir, dyrektor Banku Małopolskiego.

Śp. Zmarły, tak na stanowisku, jakie ostatnio od r. 1907. zajmował, jak i poprzednio, jako kierownik krakowskiej filii Banku Krajowego przez lat z górą dwadzieścia, brał nader czynny udział w życiu ekonomicznem naszego kraju i miasta, cieszył się też zasłużonem uznaniem, które powołały go do zarządu i rad nadzorczych różnych instytucyi jak Polskiego Towarzystwa Handlowego, Towarzystwa „Odlew", Banku Ziemskiego i wielu innych. Służył im skuteczną radą w sprawach natury finansowej, jako niepośledni ich znawca, pracował również owocnie przez szereg lat w krakowskiej Radzie miejskiej, gdzie, zwłaszcza w sekcyi skarbowej, odgrywał bardzo wybitną rolę. Gorąca chęć służenia krajowi i dążenie do podniesienia jego dobrobytu przez obudzenie naszego handlu i przemysłu, oto główne wytyczne obywatelskiej działalności dyr. Sędzimira. Był on także profesorem krakowskiej Szkoły Handlowej zapisując się na tem stanowisku we wdzięcznej pamięci swych uczniów.

Główny nacisk chcielibyśmy jednak położyć na filantropijną działalność śp. Zmarłego, jako niestrudzonego członka Zarządu Towarzystwa Szpitalnego św. Ludwika dla dzieci i gorliwego opiekuna Kolonii Rabczańskiej, które tracą w nim jednego z swych największych dobrodziejów. W najcięższych dla nich czasach, bo w latach wojny, dokładał śp. dyr. Sędzimir starań, aby wynaleźć fundusze na kuracyę chorej dziatwy i wysyłanie jej na sezon letni do Rabki.

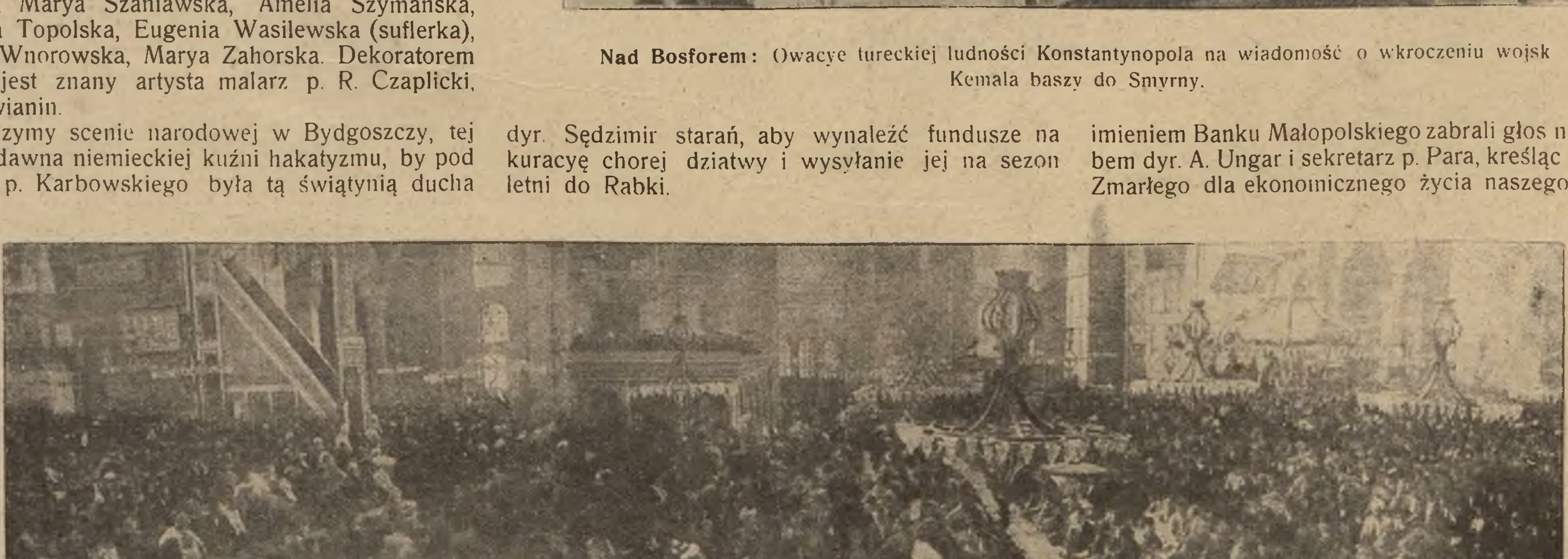
Te ciche zasługi Zmarłego, jako filantropa i dobrodzieja najmniejszych i najbardziej pomocy potrzebujących, podniósł w wymownych słowach rektor dr. Zoll w swem żałobnem przemówieniu, imieniem Banku Małopolskiego zabrali głos nad grobem dyr. A. Ungar i sekretarz p. Para, kreśląc zasługi Zmarłego dla ekonomicznego życia naszego kraju



Zgon zacnego filantropa: Śp. Mieczysław Ostoja Sędzimir, dyrektor Banku Małopolskiego.



Nad Bosforem: Owacye tureckiej ludności Konstantynopola na wiadomość o wkroczeniu wojsk Kemala baszy do Smyrny.



Nad Bosforem: Nabożeństwo dziękczynne, odprawione w piątek dnia 8 września w meczecie św. Zofii w Konstantynopolu celem uczczenia zwycięstwa Kemala baszy nad Grekami.

Miarą uznania i sympatyi, jakiemi ś. p. dyr. Sędzimir cieszył się w najszerszych kołach naszego miasta, był Jego pogrzeb w dniu 29. września b. r. Kondukt żałobny, poprzedzany przez dziatwę tutejszych zakładów dobroczynnych, prowadził ks. biskup Nowak w otoczeniu licznego duchowieństwa, a towarzyszyły mu rzesze przyjaciół i znajomych zasłużonego Obywatela.



Nad Bosforem: Portret Mustafy Kemala baszy, obwożony tryumfalnie w samochodzie po ulicach Konstantynopola.

Nad Bosforem

Konflikt grecko-turecki w Azyi Mniejszej, będący następstwem krótkowzrocznej polityki angielskiej, nie liczącej się z możliwemi następstwami, jest ciągle w tem stadyum, iż grozi wybuchem pożaru, mogącego bardzo łatwo objąć trzy sąsiadujące z sobą części świata, Europę, Azyę i Afrykę i doprowadzić do zapowiadanego ciągle starcia orężnego między rasą białą a żółtą.

Poniewczasie spostrzegła dyplomacya europejska, że zaszła zadaleko i byłaby bardzo zadowoloną, gdyby skończyło się na przetrzepaniu skóry Grekom, którzy, jak dotąd, są jedynemi jej ofiarami. Następstwa jednak mogą być poważniejsze, a musiałyby się odbić przedewszystkiem na mocarstwowem stanowisku Anglii, która, głosząc hasła wolności cieśnin, gotowa się zapchać obecnie w taką sytuacyę, iż z niej już się nie wydostanie.

Powodzenie orężne armii narodowej tureckiej i wybicie się Kemala baszy na pierwszy plan, obudziło w całej Azyi i Egipcie chęć pozbycia się stamtąd nieproszonych gości i zrzucenia z siebie tych więzów, jakie przedewszystkiem Anglia na rasę żółtą narzuciła i coraz silniej je zaciska. Niebezpieczeństwo wojny świętej wyznawców Islamu przeciw rasie białej nie było nigdy groźniejszem, jak obecnie. Przyczynia się do tego w znacznej mierze także zręczne wyzyskanie sytuacyi przez dyplomacyę rosyjską, która przy bałkańskim ogniu gotowa upiec dla siebie dwie pieczenie, to jest zyskać sobie przyjaźń i wdzięczność rasy żółtej, jako jej opiekunka i protektorka, a zarazem zmusić resztę Europy do oficyalnego uznania sowieckich rządów, przed czem tak się dotąd broniono. Kemal basza oświadczył wyraźnie, że rząd angorski o tyle weźmie udział w mającej być zwołaną międzynarodowej konferencyi celem załatwienia sporu grecko-tureckiego, o ile zaproszoną na nią będzie także urzędowo i sowiecka Rosya, na razie bowiem mocarstwa nie mają nic przeciw temu, aby się tam jawił przedstawiciel rosyjski, ale nie zapraszają go oficyalnie.



Nad Bosforem: Ogólny widok Smyrny z góry Pagus. U jej stóp dzielnica turecka, za nią kolejno żydowska, ormiańska i grecka, wzdłuż morza europejska.

Jak z dotychczasowego przebiegu pertraktacyi między najbardziej w sporze grecko-tureckim interesowanemi mocarstwami, Anglią, Francyą i Włochami, wynika, godzą się one na zanulowanie układu pokojowego Sevres i przyznania Turcyi z powrotem Tracyi po Adryanopol, oraz opróżnienie Konstantynopola, o ile rząd turecki zapewni wolność cieśnin i zobowiąże się, iż ich nie ufortyfikuje.

Tutaj jednak wyłaniają się znowu dwie trudności. Grecya i państwa Małej Ententy, w szczególności Jugosławia, nie chcą ani słyszeć o oddaniu Turkom Tracyi, Grecya postanawia jej bronić wszelkiemi siłami, Jugosławia domaga się dla siebie dostępu do morza Egejskiego. Z żądaniem Grecyi, której akcye bardzo opadły, nie liczonoby się może wcale, wmięszanie się jednak Małej Ententy nie jest bynajmniej pożądane, gdyż może bardzo łatwo unicestwić równowagę polityczną Środkowej Europy i tak wiele jeszcze pozostawiającą do życzenia. Wystarczy wspomnieć, że, gdyby naprzykład Rumunia wystąpiła przeciw Turcyi, może wybuchnąć poważny konflikt między nią a sowiecką Rosyą, stojącą otwarcie po stronie tureckiej, a Rumunii nie mogącą dotąd zapomnieć zabrania jej Bessarabii. Rumunia połączona jest sojuszem między innemi także i z Polską, konflikt grecko-turecki musiałby się zatem odbić pośrednio i na nas, gdzie nowej wojny chyba nikt nie pragnie.

Co jednak gorsze, to anulowanie traktatu sewrskiego, które świadczy smutnie o dyplomatycznej porażce polityki koalicyjnej, stanowiąc przytem groźne memento, iż to, co się stało z traktatem w Sevres spotkać może także i inne traktaty pokojowe, zatem i wersalski, że zatem sprawdzą się słowa Radka Sobelsohna, iż jest to świstek papieru, z którym nikt się nie liczy. A Niemcy czekają tylko na to i nie tracą nadziei, że kiedyś musi przyjść co najmniej do rewizyi wersalskich postanowień, jeśli nie do zupełnego ich skreślenia, jak się to ma stać obecnie z układem w Sevres. A gdyby ziściły się marzenia niemieckie, stanąłby świat wobec pytania, dla kogo właściwie i dla jakich celów prowadzono wojnę światową, która tyle ofiar kosztowała.

Miał racyę ten, kto powiedział, że największe niebezpieczeństwo grozi Europie i całej polityce światowej z Bałkanu. Tutaj wzięła początek smutnej pamięci ostatnia wojna światowa, tutaj rozgorzeć może nowa, stokroć od tamtej sroższa, gdyż nie prowadzona w imię interesów lecz pod hasłem fanatyzmu religijnego i rasowego. Polityczni lekarze europejscy zabierali się wprawdzie od lat dziesiątek do leczenia „chorego" człowieka z nad Bosforu", a kuracya ta jest dziś w tem stadyum, że pacyent żyje i ma się nawet lepiej, a lekarzom, którzy się od niego zarazili, grozi poważne niebezpieczeństwo.

Jak rzeczy obecnie stoją, czynią się przygotowania do międzynarodowej konferencyi, mającej konflikt rozwiązać pokojowo, Grecya gromadzi wojska w Tracyi, Anglia na wybrzeżach Bosforu i Dardaneli i na ich wodach, Turcya jest gotową każdej chwili do marszu na Tracyę i Konstantynopol, a Rosya oświadcza gotowość do dostarczenia jej okrętów, celem przewiezienia wojsk na ląd europejski. Niedawno przestały grzmieć działa w Małej Azyi, niedługo mogą się odezwać na Bałkanie, Turcya bowiem domaga się stanowczo opróżnienia Tracyi przez wojska greckie jeszcze przed zebraniem się międzynarodowej konferencyi. Delegat francuski do rządu angorskiego, Franklin Bouillon, zrobił już swoje, misya jego spotkała się z zupełnem powodzeniem i jego wpływom zawdzięczać należy ustępliwość Kemala baszy, oświadczającego chęć polubownego załatwienia zatargu, na dowód czego cofnięto w niektórych miejscach wojska tureckie, aby nie dopuścić w ten sposób do ich starcia z angielskiemi, które silnie obsadziły strefę neutralną, są jednak stanowczo liczebnie za słabe, aby podołać Turkom.

W dniu 3. października odbyła się konferen-



Nad Bosforem: Schronisko Greków w metropolii prawosławnej smyrneńskiej.

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

2)

(Dalszy ciąg.

Wkrótce ciepło i przykre rozmyślania, którym się oddał, ubezwładniły go do tego stopnia, że zasnął.

Zbudził go niedługo rozpaczliwy, zdławiony głos chorego.

— Ratunku! Benoit... ratunku!

— Oh! wielki Boże! — szepnął stary — zasnąłem widocznie!

Podbiegł szybko do łóżka.

Markiz rzucał się niespokojnie na poduszkach, z trudem chwytając powietrze.

— Krople... krople! duszę się, umieram.

Benoit trzęsącemi rękami wlał w siniałe usta markiza łyżeczkę płynu, spreparowanego przez doktora.

— Jeszcze... jeszcze... — szeptał chory.

— Pan Tournel zabronił — protestował stary. — Jedną tylko łyżeczkę na raz... jedną tylko panie markizie... niewolno więcej... zaszkodzi... Niech pan Markiz nie nalega...

— Dlaczego ksiądz nie przybył jeszcze? — zapytał po chwili chory, uspokojony już cokolwiek.

Benoit spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina siódma.

— Nie mógł jeszcze przybyć, panie markizie. Piotr pojechał o szóstej dopiero... Zapewne przybył dopiero do Monestier. Czas niedobry, śnieg pada... Musimy jeszcze przeczekać dobrą godzinę.

— Czekać... czekać! zawsze czekać — jęknął umierający. — Oh! Boże! przecież ja czekać nie mogę!

Lekarstwo jednak zaczynało już działać. Głowa markiza wolno stoczyła się na poduszki, oddech stał się równiejszy... Markiz spał.

O godzinie wpół do ósmej Benoit zmuszony był wzmocnić chorego kroplami — o kilkanaście minut później objawiały się silne i dotkliwe bóle w całem ciele, wskazujące, że paraliż rozpościera się już aż do serca. Benoit raz jeszcze podał lekarstwo... ale działało już coraz słabiej... bóle występowały coraz silniejsze, osłabienie wzrastało z każdą sekundą niemal...

Nagle, przed zamkiem, na tarasie, rozległ się przyciszony dźwięk dzwonka...

— Ah! — zawołał Benoit — oto ksiądz proboszcz!

Markiz dosłyszał słowa starego. Wyraz niezmiernej ulgi rozjaśnił skurczoną bólem jego twarz, powieki uniosły się...

Dźwięk dzwonka rozbrzmiewał już po korytarzach zamku.

Benoit podbiegł do drzwi.

Wysoki, młody ksiądz, w płaszczu pokrytym płatami śniegu, ukazał się w progu. Za nim szedł młody, ośmnastoletni może chłopak wiejski z dzwonkiem w ręku.

Benoit na widok księdza przyklęknął, przeżegnał się nabożnie i pogrążył w szeptem wymawianej modlitwie. Ksiądz szybkim, równym krokiem szedł w stronę łóżka, na którem spoczywał chory, lecz markiz na widok wysmukłej czarnej postaci, zbliżającej się do niego, drgnął silnie i z piersi jego wybiegł okrzyk zniecierpliwienia i zdumienia.

— Cóż to! To nie jest proboszcz z Monestier! Co to ma znaczyć! Benoit!... Benoit?...

— Jestem ksiądz Klemens, niedawno przybyłem do Monestier, aby tu odbyć pierwszą moją mszę za rozkazem i pozwoleniem biskupa z Lodeve — zabrzmiał łagodny, melodyjny głos.

— Dlaczego proboszcz Peyrusse nie przybył... dlaczego... — niecierpliwił się chory.

— Czcigodny ksiądz Peyrusse stary już jest i wiekiem zgnębiony... jest on moim opiekunem i przyjacielem. Wysłał mnie w zastępstwie. Drogi są ciężkie... śniegiem zawiane...

— Kazałem wysłać powóz!...

— Pozostał w Monestier, bo ugrzązł w śniegu.

— Jakże ksiądz się tu dostał?

— Piechotą. Prowadził mnie chłopiec tutejszy, Marcin Lagarade.

Odpowiedzi te, wymówione swobodnym, spokojnym głosem, podziałały uspokajająco na chorego. Rozgorączkowane jego spojrzenie podejrzliwie jednak i nieufnie badało twarz młodego księdza. Ale z twarzy tej mógł tylko wyczytać charakter prawy i szlachetny, współczucie głębokie i prawdziwe.

— Taki młody... taki młody... — wymówił w końcu markiz, jak gdyby z żalem.

W tej chwili przemawiał tylko przez niego egoistyczny żal człowieka, którego sumienie musiało być obciążone ciężkimi wyrzutami i niepokojem. Smutną i ponurą tajemnicę swojego życia markiz de Rochegrise mógł tylko powierzyć staremu, doświadczonemu księdzu... Ale ten młody ksiądz, dziecko prawie, czy zdoła wysłuchać go spokojnie, bez buntu... a przytem ileż lat jeszcze żyć on może z tym fatalnym sekretem, który przez żywych na zawsze zapomnianym być powinien.

— Tak młody... tak młody... powtórzył markiz niespokojnie, wpatrując się w twarz księdza.

— Jestem posłannikiem bożym — nie mam wieku... przybyłem, by przynieść panu spokój i przebaczenie — odparł łagodnie ksiądz Klemens.

— Ah! spokój! przebaczenie! — jęknął pan de Rochegrise.

Chciał wypowiedzieć jeszcze jakieś słowa, ale nowy atak bólu odrzucił go na poduszki.

— Ratujcie... krople... Benoit... krople...

Stary służący podbiegł śpiesznie.

Po zażyciu lekarstwa markiz wymówił silniejszym już trochę głosem.

— Wyjdź... zostaw mnie z księdzem.

Po wyjściu starego i chłopca w obszernej, przyćmionej sypialni zapanowało długie milczenie. Pan de Rochegrise leżał z oczami utkwionemi w dal, jak gdyby śledził gnębiącą marę swojej tragicznej przeszłości, szukając słów, od których mógłby rozpocząć straszną swoją spowiedź.

— Czy chce pan, abym mu dopomógł — zabrzmiał nagle łagodny głos księdza Klemensa.

Pan de Rochegrise skinął głową.

— Czy chce pan oskarżyć się z ciężkiego jakiego przewinienia?

— Tak... z bardzo ciężkiego.

— Może to coś więcej nawet?... zbrodnia może?

— Tak... zbrodnia... straszna, wstrętna zbrodnia, za którą pokutuję już od lat siedmnastu. Oh! te wyrzuty okropne, które każdą chwilę dnia i nocy wypełniają przerażającemi widmami... Ileż ja wycierpiałem... ile udręczeń przeżyłem.

— Te cierpienia były bezowocne... szczery żal i przyznanie się do zbrodni dałyby panu spokój i zapomnienie.

Musiałbym krzywdę tę wynagrodzić — przerwał pan de Rochegrise — a tego nie mogłem i nie chciałem uczynić... bo to widzi ksiądz... ja nie popełniłem tej zbrodni ze zemsty, lub namiętności, tylko z potrzeby... Chodziło o majątek. Jeżeli uległem namowom... jeżeli zgodziłem się na to wszystko... to jedynie w celu zabezpieczenia szczęścia komuś bargzo drogiemu... komuś, którego kochałem ponad życie... ponad honor i ambicyę... Przytem miałem doradców, którzy nalegali... zmuszali...

— Tu chodzi o pana spowiedź — przerwał poważnie ksiądz Klemens... a nie o oskarżanie wspólników.

— Boże! Boże! — jęknął umierający...

— Proszę mówić... proszę mówić szczerze i otwarcie — nalegał spokojnym lecz stanowczym głosem ksiądz Klemens.

— A więc dobrze! powiem... wyznam wszystko... niech się to raz skończy — wybuchnął ostatkiem sił pan de Rochegrise... Zabiłem dla zysku... dla pieniędzy... Markiz de Rochegrise jest zbrodniarzem i złodziejem... słyszy ksiądz... zbrodniarzem i złodziejem.

— Odwagi, odwagi... — szepnął młody kapłan, kładąc dłoń na bladem czole chorego, Bóg wie wszystko... On czeka tylko na szczery żal za postępek popełniony. Szczerość i skruchę przebaczeniem nagrodzi. Mówmy dalej... Gdzie i kiedy zabójstwo to dokonanem zostało?

— Tu... w tym pokoju... lat temu siedmnaście.

Zamglony wzrok markiza pobiegł w róg obszernego pokoju...

— Tu... tu... szeptał... tu... uderzyłem... Tam jeszcze plama z krwi niezmytej na podłodze. Oh! widzę ją... widzę... to okropne... księże — to okropne. Widzę ich wszystkich... widzę... jak wówczas... Ratunku... miłosierdzia! miłosierdzia!...

— Ależ pan nie wyznał jeszcze wszystkiego — starał się chorego doprowadzić do przytomności ksiądz Klemens... — Spowiedź zaledwie zaczęta... No, dalej, trochę odwagi... trzeba wyznać, w jaki sposób zbrodnia popełnioną została... kim są ofiary.

— Nie... nie... nie mogę...

— Musi się pan uzbroić w wolę i chęć zadośćuczynienia krzywdzie. Inaczej nie będę mógł dać rozgrzeszenia. — Ale głos już zamierał w piersi umierającego... oczy przysłaniała mgła śmiertelna. Kilkakrotnie usiłował rzucić jakieś słowa, ale więzgły one w zduszonym charkocie w gardle ściśnionem.

W końcu markiz z trudem uniósł rękę i położył ją na piersiach.

— Tu... tu... — wybiegł prawie niezrozumiały szept z jego ust.

Ksiądz ten ruch zrozumiał. Pochylił się i dostrzegł maleńki kluczyk, uwieszony na jedwabnym sznurku na szyi chorego.

— Ten klucz? — zapytał

— Tak...

— Czy mam go wziąć?

— Tak.

— Cóż mam dalej uczynić!?

Markiz utkwił spojrzenie w małem biureczku, które znajdowało się niedaleko łóżka.

— Czy otworzyć biurko?

— Tak.

Ksiądz Klemens przekręcił dwukrotnie kluczyk w zamku i wysunął szufladę. Leżała w niej na wierzchu duża skórzana koperta, wypełniona papierami, a na niej druga mniejsza, papierowa, zapieczętowana czarnym lakiem.

— Czy chodzi tu o kopertę zapieczętowaną? — zapytał ksiądz Klemens.

— Tak — odpowiedział wzrok konającego.

Ksiądz Klemens zamknął biurko i powrócił do łóżka. Markiz de Rochegrise patrzał na niego z niepokojem. Nagle twarz jego skurczyła się boleśnie i przybrała blado-siny odcień agonii.

Ostatnim wysiłkiem zdołał jednak wykrztusić:

— Niech ksiądz przeczyta.

Ksiądz Klemens spojrzał na napis; zawierał tylko parę słów:

„To jest moja spowiedź przedśmiertna" — Markiz Franciszek de Rochegrise.

— Czy spali ksiądz te kartki po przeczytaniu?

— Spalę je.

— Trzeba... krzywdy... o ile się da, naprawić... tam wszystko wskazane... Ksiądz wszuka... starać się będzie...

— Dla spokoju duszy pana uczynię wszystko...

— Chciałem... aby to córka moja uczyniła... nie przybyła jednak. Oh! dlaczego jej tu niema... — westchnął markiz ciężko. — Ale może lepiej tak... niech nie wie... Ksiądz niech tak czyni, aby się ona nie dowiedziała...

— Przyrzekam to panu.

— Dziękuję... ale teraz przez... litość błagam... rozgrzeszenia...

— Czy nienawidzi pan swojej zbrodni? — zapytał poważnie ksiądz Klemens, pochylając się nad chorym?

— Nienawidzę.

— Pragnie pan szczerze, aby krzywda choć w części naprawioną została?

— Oh! tak, pragnę...

— Proszę błagać Boga z głębi duszy o przebaczenie.

Mówiąc to młody ksiądz jeszcze niżej pochylił się nad markizem, łagodnym ruchem wyciągnął rękę i powoli, ze skupieniem, wymówił uroczyste słowa przebaczenia.

Ciężkie westchnienie niezmiernej ulgi wybiegło z sinych warg umierającego. Głowa jego bezwolnym ruchem przechyliła się na poduszki, pierś poruszać się przestała.

Markiz de Rochegrise żyć przestał.

Ksiądz Klemens delikatnym ruchem przymknął powieki zmarłego, ukląkł przy łóżku i długą chwilę trwał w cichej, skupionej modlitwie. Poczem poszedł drzwi otworzyć i wymówił uroczystym głosem:

— Chodźcie! Markiz życie zakończył.

Wkrótce pokój cały wypełnił się. Służba w zamku od kilku godzin już oczekiwała ostatecznej katastrofy. Wszyscy za księdzem Klemensem odmawiać zaczęli głośno modlitwy za zmarłych...

Około godziny dziesiątej w zamku rozległ się hałas jakiś, nawoływanie i szmer przyśpieszonych kroków.

Do pokoju, gdzie leżały zwłoki markiza, wpadł nagle pokojowiec i zawołał wzburzonym głosem:

— Pani markiza przyjechała z panią hrabiną i panem de Lognes!

— Przybywają za późno — mruknął niechętnie stary Benoit. — Biedny pan markiz przywoływał hrabiny do ostatniej chwili.

Pokój opróżnił się natychmiast.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MAURYCY JOKAJ.

BIEDNA STARUSZKA.

WSPOMNIENIE Z CZASÓW MŁODOŚCI.

2)

Poczciwa, zacna rodzina! Babka miała cztery razy większą filiżankę, niż inni, a tę napełniano jej dwukrotnie kawą. Jadła wszystko i pamiętała o wszystkiem, co na stole być powinno, a gdy jej czego nie dano skarżyła się żałośnie. Podczas tego, pytała często czy dzieci jedzą?

Pensyonowany kapitan i porucznik od piechoty rozmawiali z Gyurim, badając go czem zostać pragnie i na co się zdecyduje? Czy chce być huzarem, czy też piechurem? On odpowiedział, że nie będzie ani huzarem, ani też infanterzystą, lecz jenerałem.

Wysoki młodzieniaszek obsługiwał rumianą siostrzyczkę, z czego ta śmiała się tak głośno, że aż wdowa głową potrząsała. Gdy jednak pan z wyniosłem czołem mówić zaczął, milkł każdy. Nie było dozwolono wpadać mu w słowa. Gdy mówił, nawet babka tylko gestem dawała do poznania, że to lub owo jeść pragnie.

Wówczas już zauważyłem, że cała rodzina hołduje memu koledze. Wszystko było mu dozwolonem, nikt go nie skarcił; rządził samodzielnie młodymi i starymi.

Działo się to z przyczyny, której oczywiście wtedy nie znałem ani badałem, tej mianowicie: iż matka Gyuriego była bardzo bogatą i on dziś już był uważany jako przyszły pan fortuny olbrzymiej. Krewni zaś jego posiadali tylko mierny majątek znajdujący się w większej części jeszcze w rękach babuni, która pocieszała ich zawsze tem, że temu tę, innemu ową szafę zapisze, gdy umrze. A któż mógł wiedzieć co było w owych czarnych skrzyniach? Prawdopodobnie złoto i srebro, stare biblie z kartkami przetkanemi banknotami, pożółkłe weksle z procentem wzrosłym do kapitału. Wszystko to miało już postanowionych spadkobierców. To dostanie Gyuri, to Malwinka, to Józef, owo Julia. Niekiedy w tym czasie przybył nowy pretendent, bezzwłocznie więc zrobiono mu nowe miejsce w kodycylu. I w ten sposób wszyscy byli opatrzeni przez troskliwą babunię.

Sędziwa mama była w istocie już bardzo starą. Oddawna przygotowała się na ostatnią godzinę. Uszyła sobie śmiertelną bieliznę, suknię, czepek, w którym chciała być pochowaną. Naprzód kazała zrobić trumnę, wypisać na niej wielkiemi literami swoje nazwisko i słowa: „zmarła w Panu, w tym i w tym roku życia swego".

Gdy jednak z biegiem czasu nieoczekiwany dzień urodzin znowu się wyłonił, rozkazywała pokonaną lat liczbę na trumnie zamalować i inną napisać w tem miejscu. A skoro przyszli członkowie rodziny bliżsi i dalsi krewni i znajomi życzyć jej szczęścia w dniu urodzin, gdy małe dzieci recytowały powinszowania a starsze dziewczynki oddawały uroczyście wyhaftowane na ten cel drobnostki, babunia kazała przynieść trumnę i ubrana w granatowo-szkarłatny płaszcz kładła się w wyściełane smutne łoże na oszyty koronkami całun śmiertelny i z białej hafty poduszki, skrzyżowawszy ręce na piersiach i zamknąwszy oczy niby umarła.

Wszyscy członkowie rodziny musieli szeregiem stanąć w około trumny. Po prawej stronie u góry znajdował się mężczyzna z wyniosłem czołem i delikatna pani; dalej Gyuri z starszą siostrzyczką i malec na ręku u mamki; dwaj mniejsi synowie, oficer od piechoty i córka siostrzenicy. Za nimi aż, nigdy niewidziana publicznie kuzynka z kuchni. Po lewej stronie zaś stał pensyonowany kapitan od huzarów, owdowiała synowa z synem i rumianą dziewczynką.

Dobra staruszka pozwoliła mi raz uczestniczyć w takiej uroczystości. Widziałem jak wszyscy zebrawszy się w około, po kolei całowali ją w rękę; a ona, ciągle leżąc w trumnie, mówiła jak wiemy, że to są już ostatnie jej urodziny, i że nigdy więcej z spokojnego posłania nie powstanie, skoro raz jeszcze weń się ułoży i nie będzie już więcej trzeba liczby lat zmieniać na wieku trumny.

Poczem napominała wszystkich pięknemi słowy, żeby po jej śmierci kochali się i wspomagali wzajem. Jeśli by komu z nich nędza zagrażała, inni nie powinni go opuścić; wspierać sieroty między sobą jest ich obowiązkiem, słabsi zaś rady roztropniejszych słuchać winni. W końcu żądała, żeby ją pięknie pochowano i żeby na jej pogrzebie wszyscy byli obecni.

Jeżeli podczas tej mowy tego lub owego żal ścisnął za serce i cicho zaszlochał, była z tego bardzo kontenta.

Nikt nie odpowiedział na jej słowa, tylko mężczyzna o wyniosłem czole ośmielił się z zimną krwią zrobić uwagę:

— O! moja mamo! Któż może wiedzieć kto z nas kogo „pięknie pochowa!".

Czem poczciwa staruszka wzruszyła się nie zwykle i prawie z goryczą odparła:

— „Jak możesz mówić mi podobne przykrości?!..."

Rok jeszcze nie dobiegł do końca, gdy jednego poranku dźwięk dzwonów rozległ się w mieście całem. „Ktoś znakomity umarł" mówiono u nas w domu.

Przy dźwięku tym poszedłem do szkoły; mały Gyuri był nieobecny.

Chłopcy mówili, że on dziś całkiem nie przyjdzie, gdyż ojciec jego umarł.

Ow poważny, wzbudzający lęk i poszanowanie, pan z wyniosłem czołem!

— Cóż powie teraz poczciwa mama?

Po godzinie oznajmił nam profesor, iż po południu nie będzie szkoły, gdyż w świątecznym stroju udać się mamy na pogrzeb pewnego dygnitarza. Był on znakomitym człowiekiem, dobroczyńcą kościoła i szkoły, dlatego poczyniono wielkie przygotowania. — Na pierwszem piętrze starsi studenci śpiewali pieśni żałobne, których pojedyncze tony aż na dół spływały.

Po południu długim rzędem ustawiono nas w szkolnem podwórzu.

Tłum ludu cisnął się zewsząd zbitemi masami. Wszystko było niezwykle wzruszone, iż taki pan znakomity mógł umrzeć.

Kondukt wreszcie ruszył pomału. Na czele postępowali śpiewacy i studenci z przewielebnym pasterzem dusz w jedwabnej todze, poprzedzając czterokonny karawan z trumną obitą aksamitem i ozdobioną złotemi herbami. Po obu stronach żałobnego wozu uszykowali się huzarzy, komitetowi i trabanci miejscy z pochodniami w ręku.

Tuż za trumną szła stroskana rodzina; w pośród której znajdowała się także stara ociemniała matka, brat i syn młodszy prowadzili ją pod ręce. Nie płakała zupełnie, lecz głowa jej spadła na piersi i utykała na każdym kroku. Że musiała jeszcze i tego dożyć! Przygotowała się przecież na śmierć, na nią była kolej! a tu on ją poprzedził! on, duma familii, pełen życia — z pewną przyszłością, on! syn jej pierworodny!

Wszyscy idący za nią płakali, nie wstydząc się też wylewać publicznie. Nawet mały Gyuri szlochał głośno z twarzą ukrytą w ręku kuzynki. Tak doszliśmy aż do kościoła, dokąd wiele znakomitych panów trumnę na barkach zaniosło.

Za nimi wlóczyła się nieprzebrana liczba ludzi.

Po mowie pogrzebowej, którą wygłosił przewielebny pasterz z ambony, nakrytej czarnem suknem — kondukt znowu wyruszył z studentami na czele na cmentarz.

Odtąd Gyuri nie pokazał się w szkole. Mówiono, że matka jego opuściła miasto, gdzie każdy przedmiot obudzał jej smutne wspomnienie. Przeniosła się do dóbr swoich z dziećmi. Już go więcej nie zobaczymy. W ten sposób skończyła się moja znajomość z biedną staruszką; byłem dzieckiem a dzieci zapominają łatwo. Zapomniałem o całym domie i przyzwyczaiłem się do nowych postaci.

Upłynęło lat wiele.

Gdybym zliczył je razem byłoby pewnie ćwierć wieku. Czwarta część całej setki.

Dużo to ach! dużo czasu!

Przez dwadzieścia pięć lat los mną rzucał jak piłką. Wszystko zmieniło się koło mnie. Przed mem obliczem, w sercu mojem zmieniali się ludzie zaledwie tak do siebie podobni, jak wonny pączek polnej róży do owego kwaśnego kołącego wewnątrz owocu, który zwykle z kwiatu róży powstaje.

Wreszcie raz po dwudziestu pięciu latach wróciłem znowu do kraju. Była ósma godzina rano, chwila rozpoczęcia szkoły. Mali chłopcy spieszyli jak dawniej z dużemi książkami pod pachą, z tabliczkami u boku; niektórzy z zakłopotaną twarzą, zapewne nie umieli lekcyi!

Przechodziłem właśnie koło domu dobrej staruszki. Dom był pomalowany zielono jak przed laty; rozjuszony lew gryzł jeszcze teraz łapę miedzianą przeznaczoną do pukania.

Drzwi skrzypią trochę po otworzeniu, a podwórzec jest trawą zarośnięty, czego przedtem nie było. Wszelako na pytanie kto tu zamieszkuje? odpowiedziano i teraz: „Wielmożna starsza pani".

Przeszliśmy przez ciche pokoje. Otworzyliśmy znane drzwi. Wszystko tak, jak było. Stare ciemne skrzynie pod ścianą — jeszcze ciemniejsze — szklanne szafy; stół i krzesło na zwykłem miejscu. Nic nie zmieniono. Ani jeden sprzęt nie usunął się z pokoju, wszystkie stały jak dawniej zadowolone z położenia! Tam w kącie duży fotel na kółkach służy dotąd dobrej staruszce. Siedzi w nim, ledwie się poruszając, nieczuła na wpływy zewnętrzne, mówić nie potrzebuje prawie nigdy. Jej stara towarzyszka stoi za krzesłem i tka pończochę, nie dlatego, iżby jej ktoś żądał od niej, ale z przyzwyczajenia — dla zabicia czasu.

Usłyszawszy chód obcy, staruszka zapytała kto do niej przyszedł? Powiedziano jej, że Maurycy, Mauryś, który ongi był tak dobrym kolegą Gyuriego.

— Tak? Maurycek! — wyjąkała dobra staruszka, skinęła żeby się zbliżyć i starała się dosięgnąć mojej głowy i dotknąć włosów: Jakże wyrósł! — szepnęła.

Poczem położyła ręce na kolana chichocząc głośno. Ktośby mógł myśleć, że się śmieje, wszelako u niej oznaczało to płacz rzewny.

Płakała biedna staruszka!

Nie żądała wcale nowin ze świata, nie pytała mnie o nic; wystarczało jej, iż może dłoń moją w swojej trzymać, a gdy pożegnać się chciałem — rzekła, żebym jeszcze pozostał.

Nie można było rozpocząć żadnej rozmowy, bowiem każda u niej kończyła się płaczem.

Cóż zresztą mogłem się od niej dowiedzieć? Kędy jej liczna familia się rozpierzchła? Dlaczego żyje tak samotnie?

O! na te pytania byłaby bardzo smutna odpowiedź!

Trzech romansopisarzy znużyłoby się, gdyby chcieli wszystko to opowiedzieć, co zaszło w tej rodzinie.

Siostra Gyuriego blada, wysmukła dziewczyna była podczas trzech karnawałów najlepszą tancerką na balach, czwartego zaś najbielszą zmarłą w trumnie.

W rok później umarła dziewczynka na szkarlatynę; śmierć wybierała naprzód wszystką młodzież.

Młodszy syn, oficer wskutek jakiejś obrazy miał pojedynek. Przeniesiono go do domu z przestrzelonem sercem.

Potem przyszła kolej na matkę Gyuriego. Od śmierci męża cierpiała na nerwy w takim stopniu, że lekarze zwątpili o niej. Jeździła z jednych kąpiel do drugich, wreszcie porzuciła wszelkie podróże i na wieki została wyleczoną.

Smutniejszą jeszcze jest historya kwalifikującej się do zamęźcia dojrzałej siostrzenicy. Umarła — tak — ale z czego? z niewierności jakiegoś nikczemnika na złamane serce. Z powodu cicho trawiącej choroby, czy też cicho trawiącej zgryzoty. Nazwijcie to jak chcecie, dość że cherlała, więdła i z tego umarła.

Następnie lotem błyskawicy rozeszła się pogłoska, iż starszy wnuk, pilny młodzieniec przygotowujący się w kolegium na adwokata, wskutek kurczu, chwytającego go w kąpieli, lubo był najlepszym pływakiem, w oczach kolegów utonął. I to w nędznym strumyku, który zwykle śpiewa jąco przepływał!

Po odebraniu tej przerażającej wieści nieszczęśliwa matka popadła w gwałtowną febrę i w czternaście dni poszła za dziećmi swemi. Tu już nawet poczciwa babunia utraciła chrześciańską cierpliwość.

— Czyż to pięknie z waszej strony — mówiła do zmarłych z wyrzutem — iż chowacie razem ze mną wnuki, a potem umieracie sami zostawiając mnie stroskaną na ziemi. Czyż to ja powinnam groby wam sypać? Czyż ja mam wszystkich was pogrzebać? O! — to jest nielitościwość! Straszna, szkaradna bezwzględność.

Czas płynął znowu zwykłą koleją; poczciwa staruszka ciągle nową lat liczbę na trumnie pi-

sać kazała, sądząc zawsze, że wymalowana świeżo będzie ostatnią i że już nikt przed nią nie umrze.

Ale stało się inaczej. Brat jej, który żył długo z czaszką załataną srebrnym płatkiem, przeniósł się wreszcie w zupełny stan spoczynku. Staruszka pochowała go także.

Ale pozostało jej zawsze jeszcze dwoje wnucząt: Gyuri i siostra jego.

Gyuri wyrósł na pięknego dzielnego młodzieńca, na prawdziwą ozdobę węgierskiej gwardyi. Mówiono, iż piękniejszy od niego żołnierz istnieć nie może.

Za to siostrzyczka mała była kaleką, cierpiała na reumatyzm. Biedactwo wzbudzało litość w najzatwardzialszych, a babka myśląc na nią, szeptała: Czyżby Bóg i tę chciał wziąć do siebie.

Tak się stało. Zakończeniem długiej choroby jest śmierć. Dziecię schło, niknęło z dnia na dzień, tak jak owoc, gdy rośnie z drugim na jednej łodydze; jeden buja, czerwienieje; inny zaś żółknie i odpada. Tak więc i ona w grób wpadła.

Gyuri, który był dotąd ulubieńcem babuni, odziedziczył teraz całą jej miłość, podzieloną pierwej pomiędzy inne dzieci i wnuki — on jedyny! Ach jakże się nim szczyciła! Na samo wymienienie jego nazwiska nie posiadała się z radości.

Najsmutniejsza to historya!

Młodzieniec był śmiały i odważny. Nadeszły straszliwe czasy wojny roku 1848–1849. Zapomniał, iż ma starą babkę, której jest jedyną pociechą. Poszedł tam, skąd się rzadko powraca i pozostał, a niewiadomo gdzie? Niewiadomo czy miał całun, gdy składano go w grobie? Wiedziano tylko, że umarł i że nigdy nie wróci.

Liść, kwiat i owoc opadły już z drzewa. Na nikogo na ziemi nie mogła czekać już matka stara. Wszystkich złożono przed nią w grób ciemny.

Wtedy przypomniała sobie o kuzynce z kuchni, o której dotąd nikt nic nie mówił. Wzięła ją do siebie, gdyż była jedyną z rodziny całej. A chociaż w tym czasie liczyła lat przeszło trzydzieści, zaczęto jej nadskakiwać. Zewsząd cisnęli się wzdychający do małżeństwa eleganci, paniczyki, kawalerowie, nazywając ją „łaskawą panią".

Odtrącona dziewczyna zemściła się wszelako na spóźnionych konkurentach i na swej starej kuzynce tem, iż gdy najwięcej ją uwielbiano i najpilniej strzeżono, umarła na cholerę.

Dobra biedna staruszka, przygotowująca sobie naprzód łoże śmiertelne, pozostała sama na świecie. Przeżyła tylu wesołych, młodych krewnych, którzy zapewne zamierzają żyć jeszcze lat dziesiątki, stojąc koło trumny, gdzie leżała staruszka z złożonemi na piersiach rękami i zamkniętemi oczyma. Jest już temu więcej niż dwadzieścia pięć lat, a jednak pamiętam to tak dobrze, jakby się działo przedwczoraj.

KONIEC.

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

2)

Obwisłe kąty ust nie podnosił teraz szczery czy też narzucony uśmiech, zjawiający się grzecznie na każde żądanie. W pogrubiałych zmarszczkach czytać było można swobodnie smutek i zgryzoty jednych, cynizm i nadużycia drugich.

Nic się tu teraz ukryć nie dało — ani odrażająca szpetota, ani piękność utrzymywana pracowicie, ani przeżycie i namiętności różne występujące wyraźnemi bruzdami, ani niekłamliwy wdzięk młodości, wybijającej się zwycięzko ponad zmęczenie fizyczne i szarzyznę niekorzystnego światła.

I na ładną twarz Marty padły blade cienie bezsennie spędzonej nocy, siną smugą podkreślając rozpalone oczy, czerwieńszą purpurą, barwiąc spieczone usta.

Z chwilą zbliżania się do celu przeznaczenia wzmagała się w niej niecierpliwość, niespokojne pragnienie i ciekawość przed nieznanem, przywoływanem tak gorąco.

Już ostatni przystanek.

Z okien wagonu widać już czerwone zabudowania fabryczne, z czarnymi, buchającymi dymem kominami, liczne, drobne domki przedmieść, rozsiadłe pomiędzy warzywnymi ogrodami, długiemi, wężowemi liniami, krzyżujące się szyny kolejowe.

W przedziale zbudził się ruch zrazu leniwy, niechętny. Ktoś ziewnął szeroko i głośno, bezmyślnemi oczami wodząc po otoczeniu, ktoś energicznie zaczął prostować zdrętwiałe członki. Kobiety niepewnymi ruchami przystąpiły do usuwania z twarzy i sukien przykrych śladów kilkunastogodzinnej męczącej podróży, narzekając na niewygodę i ciasnotę przepełnionego przedziału. Po chwili powstał już ruch żywszy i zamieszanie. Ściągano z półek rozliczne kuferki i tłumoczki, popychano się, przeszkadzano, z bezwzględnym egoizmem ludzi śpieszących się i zniecierpliwionych.

Marta przeczekała pierwszy ten odruch budzącej się energii otoczenia i znalazłszy chwilę sposobniejszą, zdjęła z półki swój niewielki skórzany kuferek. Stary już był bardzo i zniszczony, skóra miejscami mocno wytarta, paski podarte i postrzępione.

Niechętnie, wstydząc się, Marta postawiła kuferek na ławce pod oknem, zasłaniając go własną osobą.

Długi, przeciągły gwizd zajęczał w powietrzu. Pociąg z hukiem i szumem, sapiąc astmatycznie wjeżdżał na dworzec.

Krzyk, hałas, tłok, nawoływania, odrazu ogłuszyły Martę. Stanęła bezradnie na peronie, nie wiedząc, w którą udać się stronę.

Po raz pierwszy od wyjazdu z domu, głuchy jęk targnął jej duszą. Gdyby choć jaka znajoma twarz ukazała się z tłumu, śpiesząc na powitanie. Gdyby choć pewność, że dozna w tem mieście nieznanem życzliwego, sympatycznego przyjęcia! Obojętni, śpieszący się ludzie mijali ją, potrącając, ludzie obcy, nie mający z nią nic wspólnego, nieczuli na to, co się teraz wokoło nich dziać mogło.

Wyratował ją z przykrego położenia stary posługacz, który dobrodusznie uśmiechnięty, zwęszywszy w niej nieporadną podróżną, przybywającą z prowincyi, podszedł do niej z zapytaniem.

— A panienka dokąd? Może gwizdnąć na dorożkę?

— Nie, nie dziękuję — odpowiedziała Marta, lękając się za wielkiego wydatku, uszczęśliwiona jednak tą niespodziewaną pomocą. — Chciałabym tylko dostać się na ulicę Wilczą... a ten kuferek dosyć ciężki.

— To go panience poniosę — zaofiarował się posługacz. - Dla mnie on tam ciężki nie będzie. Nie taką ja chudzinę wynosił po całem mieście. Niech panienka idzie za mną. A numer który tam będzie?

— Czterdziesty dziewiąty.

— No, to w drogę. Panienka pierwszy raz w Warszawie?

— Pierwszy — przyznała się Marta.

— Ja to zaraz zgadł, inom panienkę ujrzał — zaśmiał się posługacz. — Proszę się mnie trzymać, bo się panienka jeszcze gdzie zagubi. Nasza Warszawa to wielka, a ludu w niej jak mrowia.

Podźwignął kuferek na sznurze, zarzucił na plecy i ruszył przodem.

Marta z rozjaśnioną twarzą podążyła za nim. Pierwsze niemiłe wrażenie, odebrane przy wyjściu z wagonu, rozwiało się już, zagłuszone powracającem uczuciem nadziei.

Przecież jest tu pani Luna, do niej idę, ona taka dobra, zajmie się mną tak, jak obiecała — przekonywała się Marta. — Ci ludzie nieznani dzisiaj, jutro stać się mogą dobrymi, sympatycznymi znajomymi. Czego się więc mam lękać. Za miesiąc śmiać się będę z tego chwilowego tchórzostwa.

Idąc za posługaczem, którego starała się nie tracić z oczu, rzucała od czasu do czasu ciekawe spojrzenia na mijających ją przechodniów i wystawy sklepowe.

Dziwił ją ogromnie ruch uliczny, którego nie znała jeszcze, turkot dorożek, głuchy świst przesuwających się jak strzała automobilów, cały ten denerwujący, chaotyczny pogwar wielkiego miasta, dyszącego życiem, pracą i tchnieniem milionowych egzystencyi.

— Jak się oni tu wszyscy śpieszą — pomyślała w pewnej chwili. — Śpieszą się tak, jak gdyby pragnęli wykorzystać każdą godzinę, każdą chwilę życia, nie pominąć nic, nie zapomnieć o niczem! I ja tak żyć będę niedługo, uśmiechnęła się z zadowoleniem — Żyć, życiem pełnem, bogatem w wrażenia i szczęście!

Posługacz tymczasem skręcił z ulicy Marszałkowskiej w boczną, węższą ulicę i stanął przed czteropiętrową kamienicą.

— To tu, numer 49 — rzekł, zwracając się do Marty. — Wyniosę jeszcze panience na górę, a piętro które?

— Trzecie — odpowiedziała Marta, podając mu przygotowaną już zapłatę.

Schował i drapać się zaczął powoli po schodach.

— Panienka do znajomych? — zapytał, kiedy stanęli na trzeciem piętrze.

— Do znajomych — potwierdziła z pewną dumą Marta, wspomniawszy sobie wykwintną, elegancką postać pani Luny.

Posługacz zadzwonił i mimowoli spojrzał na bilet wizytowy, przybity nad skrzynką do listów.

— Ah! to do tej aktorki — wyrzekł z pewnem rozczarowaniem w głosie, przypatrując się bacznie Marcie. Znam ja ją, znam! Dosyć się tu nanoszę liścików i bukietów. Zna ją cała Warszawa. I panienka mówi, że to znajoma. Lepiejby takich znajomości wcale nie mieć — mruknął spluwając na słomiankę — nic dobrego z tego panience nie wyjdzie.

Marta nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej chwili zgrzytnął zamek i w drzwiach ukazała się wyfryzowana głowa młodej dziewczyny.

— Czego to? Do kogo? — mruknęła niechętnie.

— A do twojej pani, piękny kwiatuszku — odpowiedział posługacz. — Nie poznajesz to mnie? Dopiero w tamtym tygodniu byłem tutaj z listem.

— A prawda! prawda! — przypomniała sobie dziewczyna. — A ta panna?

— Co się tu pytać? Otwórz drzwi i wpuszczaj.

— Oho! właśnie! — obraziła się — Do mojej pani teraz nie można, spi jeszcze.

— Ktoby was tam wiedział kiedy można — mruknął posługacz odsuwając ją od drzwi i stawiając kuferek w przedpokoju. — Z dnia bożego noc robicie, a z nocy dzień. Niech panienka wejdzie — zwrócił się do onieśmielonej hardością pokojówki Marty. — Za drzwiami przecień stać nie można. Obudzi się, to z panienką pogada, kiedy znajoma.

— Znajoma? - zdziwiła się ironicznie dziewczyna, obrzucając skromne ubranie Marty krytycznem spojrzeniem. — Ja tej panny tu jeszcze nie widziała.

— To teraz widzisz — zaśmiał się posługacz. — No, iść mi trza. Życzę powodzenia panience — rzucił przychylnie Marcie.

— Dziękuję — odpowiedziała stojąc bezradnie w przedpokoju, wodząc oczami po błyszczących lustrach, w których odbijała się jej postać.

— No i czego tu panna stoi — odezwała się pokojówka po wyjściu posługacza. — Kiedy tu już panna jest, to dalej pójść można, tylko hałasu nie robić, żeby pania nie zbudzić. Późno w nocy wróciła z kolacyi, to teraz śpi. A panna z daleka? — pytała prowadząc Martę do jadalnego pokoju.

— Z Zakopanego — odpowiedziała przypatrując się ciekawie bogatemu urządzeniu i zastawie srebrnej, błyszczącej na szerokim, dębowym kredensie.

— Ah! z Zakopanego? Pani tam była w lecie. Chciała mnie brać ze sobą, ale ja tam nie lubię gór i tych śmierdzących górali. Nudno! To i zostałam w Warszawie i wybawiłam się za wszystkie czasy. Dopiero dziewiąta — paplała żywo, spojrzawszy na duży zegar ścienny. — Pani się nie obudzi aż za godzinę. Co tu panna siedzieć będzie. Lepiej do kuchni. Weselej i cieplej.

Marta oszołomiona trochę i zmęczona bardzo, chętnie przystała.

Z westchnieniem ulgi usiadła w kuchni przy piecu, opierając się plecami o ścianę. Jakżeby chętnie rozebrała się teraz, położyła do łóżka i przespała choć kilka godzin!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Pożegnaliśmy zatem bez wielkiego żalu nasz Sejm ustawodawczy, który po długich i ciężkich cierpieniach przeniósł się lekko do wieczności pozostawiwszy nam po sobie w spadku Konstytucyę, reformę rolną i wiele innych ustaw mniej lub więcej dla ogółu korzystnych. Obradował prawie przez cztery lata, załatwił stosunkowo dość dużo, ale jeszcze nie wszystko, co był powinien. Ostatnia serya jesienna przeszła zupełnie spokojnie, bez zapowiadanych poprzednio niespodzianek, których celem miało być obalenie gabinetu Nowaka, popieranego przez lewicę, zatem zwalczanego przez prawicowców. Jakoś jednak tak się złożyło, że skończyło się tylko na zapowiedziach awantur, a wszystkie przedłożenia rządowe przeszły tak gładko, iż należy wyrazić żal, że podobnej metody nie trzymano się przez cały czas trwania sejmowej kadencyi.

Pokazuje się z tego, że dopiero obecnie trafiono na właściwego kierownika rządów, że naszym wielkim mężom stanu potrzebny był weterynarz, aby wyleczyć ich z rozmaitych przypadłości, nieraz bardzo zaraźliwych, a ogółowi grożących niebezpieczeństwem. Mieliśmy już u steru rządów aptekarza, na nic przecież nie zdały się środki zaradcze przez niego przygotowane, nie pomogły też zdolności inżynierskie innych premierów, starających się o budowę mostów, wiodących do zgody, które jednak zwaliły się przed czasem. Jakich metod leczenia używał prof. Nowak, to jest jego tajemnicą, faktem jest, że jak dotąd wywiązuje się doskonale ze swego zadania. Żywot obecnego gabinetu jest zatem prawie zapewniony co najmniej do grudnia, gdyż nowy sejm zbierze się dopiero w końcu listopada. Oczywiście można być przygotowanym na jakieś niespodzianki, bo Polska jest dla nich gruntem bardzo urodzajnym i rodzą się tu bardzo chętnie, choć ich nikt nie posieje. Miejmy jednak nadzieję, że tak, jak ustępujących posłów żegnał prof. Nowak obiadem, tak też powita i ich następców.

Obecny Sejm zbierze się wprawdzie jeszcze raz, t. j. z końcem listopada, ale tylko po to, aby się ostatecznie pożegnać, a powitać następców i w ręce ich złożyć władzę. Wielu z pomiędzy dotychczasowych posłów powróci znów do Warszawy, znajdą się przecie i tacy, którym wyborcy odmówią zaufania i poproszą, aby miejsca ustąpili komu innemu, nie braknie także i takich, którzy już dziś powiedzieli sobie:

— Mam już dość, niech się tesaz bawi kto inny!...

Skoro zatem sprawy sejmowe zeszły z porządku dziennego, tem łatwiej oddać się całem sercem i duszą akcyi wyborczej, korzystając z czasu, gdy jeszcze nie obowiązuje absolutny zakaz sprzedawania alkoholu. Tworzą się też codziennie prawie nowe bloki i zespoły polityczne, ogłaszające swe narodziny *urbi et orbi*, i wystawiające swych kandydatów, oczywiście w jak najpiękniejszem oświetleniu. Praca przedwyborcza w pełnym toku, skrzypią pióra, stękają maszyny do pisania, a jak wszędzie, tak i tutaj, wyłazi na wierzch od czasu do czasu (i to nawet bardzo często!...) chaos i nieporządek, który starają się nam wytłómaczyć zbyt pospiesznem ogłoszeniem wyborów i za krótkim stosunkowo czasem na przygotowanie prac przedstępnych. I tak zdarzyło się w pewnem wielkiem mieście, że główny komisarz wyborczy na ten okręg, zamieszkały tam od lat dziesiątek, znany niemal każdemu, przeglądając listę uprawnionych do głosowania, przekonał się ku swemu ogromnemu zdziwieniu, iż go na niej nie umieszczono. Złośliwi rozpuszczają wieści, że w obecnych wyborach wezmą, zwłaszcza w większych miastach, podobnie jak to dawniej bywało, także i nieboszczycy udział, czemu jednak wierzyć nie należy, gdyż na ostatnim seansie przedwyborczym, urządzonym przez Towarzystwo Metapsychiczne, oświadczyli stanowczo ich delegaci, że ogół zmarłych wstrzyma się absolutnie od głosowania nie tylko do Sejmu, ale i do Senatu.

Nie zdołaliśmy stwierdzić, czy dotychczasowe czternaście list, zgłoszonych w Krakowie, nie zwiększyło się przypadkiem bodaj o kilka jeszcze, to jedno jest pewnem, że Towarzystwo Stróżów Katolickich swego kandydata nie stawia, nie zgłasza go też blok utworzony świeżo członków Bractwa Dobrej śmierci, służby szpitalnej i huzarów Wolnego. Tak jedni jak i drudzy, t. j. panowie stróże i blokiści, obiecują jedynie poparcie zgłaszającym się kandydatom, zapewniając solennie, że „jak się da, to się zrobi". Podobno w lokalu Towarzystwa Stróżów przy ulicy Zwierzynieckiej zgłosiło się dotychczas przeszło trzy tuziny kandydatów, a każdy z nich obiecał solennie, że pierwszym wnioskiem, jaki w nowym sejmie postawi, będzie upaństwowienie „szpery" i ustawa, na mocy której żadnemu z lokatorów nie będzie wolno wracać do domu wieczorem przed dziesiątą, jednakże nie po jedenastej, aby we śnie nie przeszkadzać państwu stróżostwu, ci zaś, którzy wieczorami z domu nie wychodzą, będą obowiązani do składania pewnej ryczałtowej kwoty miesięcznej, równającej się trzydziestokrotnej normalnej szperze. Z ociągających się z płaceniem będzie można ściągać należytość drogą egzekucyi. Jak się dowiadujemy, krakowscy restauratorzy, kawiarze, szynkarze i im pokrewni zrezygnowali z zamiaru wysłania do sejmu i senatu swych przedstawicieli, a to na znak protestu przeciw bezprawiu, jakiego się na nich dopuścił krakowski Sąd skazując ich na areszt i wysokie grzywny pieniężne za ich dobre serce, iż nie chcą dopuścić do tego, aby Krakowianie wymarli z głodu. Grzywnę można jakoś jeszcze przeboleć, gdyż zapłacą ją goście, ale kozy żaden gość za restauratora nie odsiedzi.

Nawiasem mówiąc, musi się przyznać, że mogą ci panowie czuć pewną urazę do sprawiedliwości, jeśli się zważy, że żaden masarz, rzeźnik i piekarz za stosowanie podobnej metody nie był dotąd pociągany do odpowiedzialności. Staraliśmy się ich pocieszyć, że może się to stać w dalszym ciągu, skoro dobry początek już zrobiony,

Pomiędzy ustawami uchwalonemi przez Sejm podczas jesiennej sesyi znalazła się także ustawa o samorządzie dla Wschodniej Małopolski. Projekt rządowy przyjęty został z nieznacznemi tylko zmianami i to znaczną większością głosów, choć z różnych stron zapowiadano gwałtowną opozycyę. Należałoby się zatem spodziewać, że sprawa tej części kraju, przysparzająca nam wiele kłopotu, zostanie ostatecznie załatwioną z korzyścią dla obu stron, przyznano bowiem Rusinom wszystkie te prawa, które zapewniają im swobodę kulturalnego rozwoju. Ale grupa zwolenników Petruszewycza, gotowa połączyć się z każdym nawet dyabłem, byle nie z Polską, nie ustaje bynajmniej w swej antipańśtwowej pracy, zasilanej obficie funduszami przez naszych zagranicznych wrogów. Pan „dyktator" rezyduje we Wiedniu i stamtąd kieruje polityką wewnętrzną i zagraniczną „Zachodniej Ukrainy", a setki jego agitatorów, rekrutujących się z pomiędzy młodzieży ruskiej, grasuje po kraju, niosąc śmierć i zniszczenie wszystkim tym, którzy są innego, niż oni zapatrywania politycznego. Ofiarą ich „wolnościowej pracy" padają tak Polacy, jak i Rusini, którzy nie widzą przeszkód do zgodnego współżycia obu narodowości, zamieszkujących tę ziemię. Terroryzm ukraiński chodzi o to, aby na obszarze trzech południowo wschodnich województw doprowadzić do ogłoszenia stanu wyjątkowego, który nie dozwoliłby do przeprowadzenia wyborów w swoim czasie.

Ruscy radykali, na czele których stoi dr. Trylowski, oddzielili się już od zwolenników Petruszewycza, zrozumiawszy nareszcie, jaką ta jego polityka szkodę wyrządza przedewszystkiem samym Rusinom. Na tę secesyę nie można jednak wiele liczyć z naszego punktu zapatrywania. Rusini bowiem niejednokrotnie już złożyli dowody, że mogą się kłócić między sobą, gdy jednak rozchodzi się o ich stanowisko wobec Polaków, momentalnie two rzą jednolity front i gotowi są do wspólnej ofen zywy.

Myślałby kto może, że w tych warunkach, oceniając powagę położenia, pójdą w tej części kraju naszego polskie stronnictwa zwartą masą. Otóż, jeśli kto tak myśli, to jest w błędzie, na wschodnim terenie Małopolski ścierają się nasze partye polityczne ze sobą tak zaciekle, jak gdyby od zewnątrz nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Jaki będzie rezultat takiego postępowania, które jest wodą na młyn ukraiński, przyszłość pokaże, należałoby sobie jednak życzyć, abyśmy się nie znaleźli w tem przykrem położeniu, byśmy sobie musieli powiedzieć: „mądry Polak po szkodzie".

Nie wiemy także dotąd, jakie stanowisko wobec ustawy o samorządzie dla Wschodniej Małopolski zajmą mocarstwa, w szczególności zaś Anglia, znana opiekunka „uciśnionych", a za takich uważa ona byłych galicyjskich Rusinów. Lloyd George nie omieszka z pewnością skorzystać ze sposobności, aby okazać nam swą sympatyę, dopomogą mu Niemcy, także i Czesi, których marzeniem jest, aby, przez utworzenie samodzielnej Zachodniej Ukrainy, znaleźć wygodny korytarz, łączący Czecho Słowacyę ze sowiecką Rosyą. I rosyjscy bolszewicy gotowi w danej chwili podać swym zachodnim przyjaciołom pomocną rękę, choć bowiem w traktacie ryskim uznali południowo-wschodnie granice Polski, z zasady żadnemi umowami wiązać się nie lubią, a wszelkie traktaty uważają za bezwartościowe świstki papieru.

Na Lloyda Georgea podziałają może łagodząco jego małoazyatyckie niepowodzenia i może pozwoli łaskawie, aby sprawa Wschodniej Małopolski poszła właściwym torem, jako dla Anglii mniej ważna od sprawy tureckiej. Po krakowsku mówiąc, uważano Lloyda Georgea za „morowego" polityka, pokazuje się jednak, że są od niego „morowsi", a do nich zaliczyć się musi przedewszystkiem Kemala baszę, który pokrzyżował w obrzydliwy sposób wschodnie plany Koalicyi i zmusił ją do tego, że decyduje się sama oddać Turcyi to, co jej zabrała. Wschodnia polityka Anglii przyczyniła się do tego, że znaczenie sowieckiej Rosyi podniosło się znacznie, a jej sympatye, zwrócone w stronę rządu angorskiego nie dają spać spokojnie tym zwłaszcza pośród europejskich polityków, którzy interesy swych państw widzą na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Pośród wyznawców Islamu wre, a ich nienawiść przeciw białym ciemiężycielom szuka tylko sposobności do wyładowania się, jeśli zaś Rosya sowiecka poszłaby z nimi ręka w rękę, Europa zachodnia, przedewszystkiem zaś Anglia mogłaby się znaleść w położeniu, jakiego sobie nie życzy, a które wisi nad nią, niczem miecz Damoklesa. Lloyd George może sobie śmiało powiedzieć, że poszedł trochę zadaleko, bo nie trzeba być wcale politykiem, aby dojść do wniosku, że to ciągłe podszczuwania jednych przeciw drugim, w czem Anglia jest mistrzynią, nie prowadzą do celu. Wprawdzie uczono nas niegdyś, że „gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta", ale po wojnie światowej także i niektóre przysłowia straciły swe znaczenie, a wyżej zacytowane brzmi dziś nieco odmiennie: „gdzie dwóch się bije, tam i trzeci może łatwo coś oberwać". Kazali się Grekowi bić z Turkiem, a korzyść z tego miał odnieść Anglik, na razie na tem się skończyło, że Grekom przetrzepano porządnie skórę i wypędzono z głowy wielko-greckie aspiracye, nie jest jednak wykluczone, że i inicyatorka tej walki na pięści, Anglia, może wyjść w dalszym ciągu co najmniej z guzem lub sińcem, gdy jej żółci poddani, widząc sukcesy Kemala baszy, poproszą, aby i do nich zastosowano tak wzniosłą zasadę samostawienia narodów o swym losie. O ile poproszą o to w grzeczny sposób, to jeszcze mniejsza, ale mieszkańcy Azyi i Afryki na polityce europejskiej się nie znają i wolą chwytać odrazu za kij, wiedząc o tem, że to argument bardziej przekonywujący niż słowa.

Najsmutniej na tych sztuczkach Lloyda George wyszedł król grecki Konstantyn, który powiększył grono koronowanych emerytów i najprawdopodobniej, nie zrobiwszy na polityce interesu, kopnie się gdzieś w zacisze i zacznie, podobniej jak jego szwagier pisać pamiętniki, bo to teraz o wiele dobrze za to płacą.

Szkoda, że w Grecyi nie obowiązuje ustawa o ochronie lokatorów, dzięki której król Konstantyn mógłby siedzieć spokojnie na swym tronie.

cya między Kemalem baszą a angielskimi jenerałami, w której na żądanie Francyi miał wziąć



Nad Bosforem: Uciekający Grecy w porcie smyrneńskim w oczekiwaniu na okręty, które ich mają zabrać.

udział i delegat grecki, aby omówić warunki natychmiastowego opuszczenia Tracyi przez wojska



Nad Bosforem: Były premier grecki, Venizelos, od którego żąda lud grecki, aby powrócił z wygnania i ujął w swe ręce ster rządów.

greckie. Francya żąda także wycofania wojsk angielskich z Małej Azyi, obecność ich drażni bowiem Turków, a do obrony cieśnin wystarczą, według orzeczenia ekspertów, znajdujące się tam angielskie okręty wojenne. Zgromadzenie narodowe w Angorze akceptowało w zupełności politykę Kemala baszy, jeśli zatem nie zajdą jakieś nieprzewidziane przeszkody skończy się na tem, że Turcy powrócą do Konstantynopola i Tracyi, Grecya wycofa się zupełnie z Małej Azyi, a jedynemi ofiarami tego tak groźnie zapowiadającego się konfliktu będą: król grecki Konstantyn, który już pozbył się korony i sułtan Mahomet, mający, jako zbyt ulegający wpływom angielskim, być zastąpionym przez następcę, powołanego na tron przez Zgromadzenie narodowe.

Jeśli sprawa weźmie taki obrót, będzie to nowem zwycięstwem pokojowej polityki francuskiej i tem silniejszem ugruntowaniem jej wpływów na Bliskim Wschodzie.

Powtórne małżeństwo ex-cesarza Wilhelma.

Zdetronizowany cesarz niemiecki, zaledwie otrząsnąwszy się z żałoby po stracie swej pierwszej małżonki, wbrew wszystkim zaprzeczeniom, zamierza znowu zakosztować słodyczy Hymenu i rozesłał już zawiadomienia o swym ślubie z księżną Herminą Schönaich Karolath, trzydziestopięcioletnią wdową, z domu księżniczką Reuss-Greiz. Ślub ma się odbyć w Doorn, w dniu 5. listopada b. r.

O matrymonialnych zamiarach ex-cesarza pisano od kilku miesięcy, wówczas wymieniano jednak jako oblubienicę niejaką von Rochow, wdowę po pułkowniku wojsk niemieckich, mniejwięcej rówieśnicę ex-cesarza. Widocznie ma on jednak poważniejsze zamiary, skoro wybór padł na osobę młodszą.

Księżna Hermina Schönaich Karolath bawiła ubiegłego lata w Doorn i podczas swego pobytu potrafiła ujmującem obejściem zdobyć sobie względy ex-cesarza, który zdecydował się na krok stanowczy pomimo oporu swej rodziny. I ona jest od niedawna wdową, a z pierwszego małżeństwa ma pięcioro dzieci, z których troje młodszych zabiera ze sobą do Doorn, jako wiano dla przyszłego małżonka, dwu najstarszych synów pozostaje w Greiz, gdzie kontynuować mają rozpoczęte studya. Związek małżeński zawarty będzie na mocy praw holenderskich, a ceremonia zaślubin odbędzie się w kaplicy zamkowej w Doorn, w gronie najbliższej rodziny. Potrzebne w tym celu dokumenty urzędowe przywiózł już ks. August Wilhelm z Berlina. Na ślub rozkochanego taty zjedzie się zapewne cała najbliższa rodzina, zdecydował się bowiem przybyć także i były następca tronu, Fryderyk Wilhelm, który najsilniej sprzeciwiał się jego matrymonialnym zamiarom.

Na razie kandydat do stanu małżeńskiego zajmuje się przygotowaniami przedślubnemi i z tego



Nad Bosforem: Kolonia angielska, opuszczająca Smyrnę na pokładzie greckiego okrętu *„Elpiniki"*.

powodu przeprowadza się w rezydencyi ex-cesarza rozliczne adaptacye, oraz przygotowuje mieszkanie dla dzieci księżnej Herminy, które na życzenie rodziny Hohenzollernów mają być wraz z swymi wychowawcami ulokowane zupełnie osobno, co jest zresztą zupełnie wskazane ze względu na miodowe miesiące „młodej pary".

Wierni poddani ex-cesarza nie pozostaną też



Powtórne małżeństwo ex-cesarza Wilhelma: Narzeczona ex-cesarza, księżna Hermina *primo voto* Schönaich Karolath, z domu ks. Reuss-Greiz.

niemi w tej uroczystej chwili i przygotowują się do złożenia życzeń. W tym celu w różnych miastach Niemiec wyłożono w stowarzyszeniach i sklepach arkusze, na których składają swe podpisy gratulanci.

Krzyżacka pycha i jej poskromienie.

Zbytecznem chyba przypominać o niemieckiej bucie i zarozumiałości, od których po tak strasznych cięgach, jakie w ostatniej wojnie odebrali — jeszcze odzwyczaić się nie mogą.

Historya wykazuje, że nie wyłączając nawet Hunów i dzikie hordy Dżengis-Khana — nie znał świat większych barbarzyńców, niebezpieczniejszych burzycieli pokoju, zacieklejszych wrogów kultury i cywilizacyi — jak Niemcy.

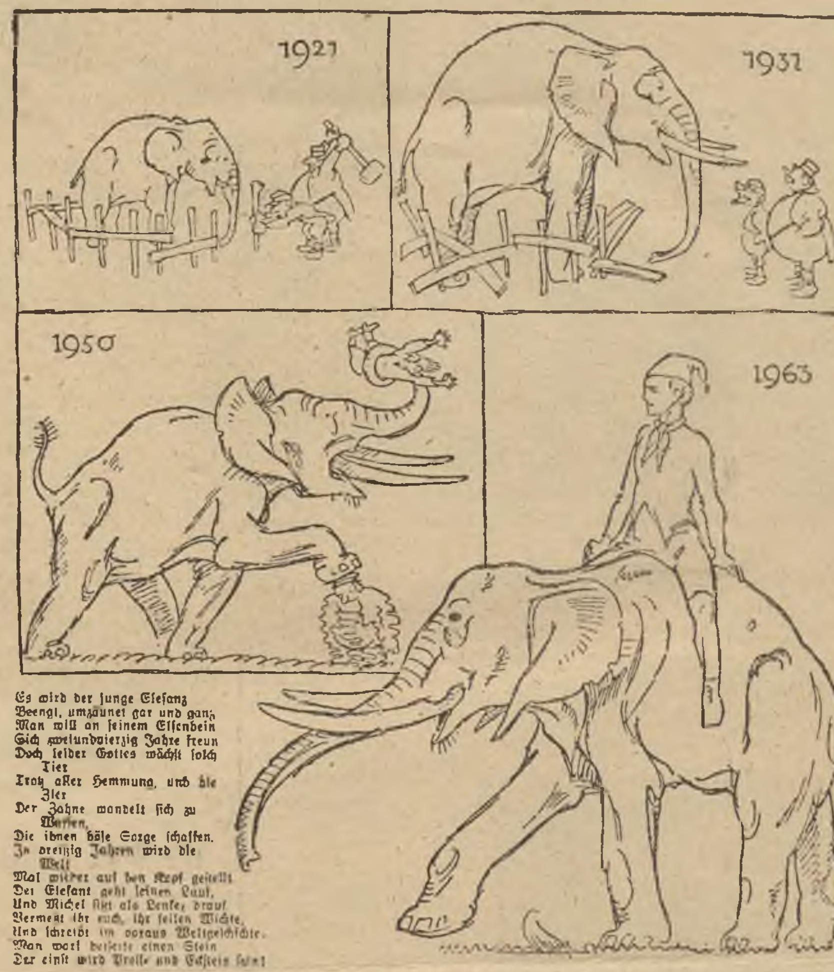
Krwawa martyrologia podbitych ludów i krajów: Polaków, Pomorzan, Kaszubów, Alzatów i Lotarynczyków — a wreszcie zwierzęce postępowanie rozbestwionej dziczy krzyżackiej w ostatniej wojnie — daje dostateczny obraz ich kulturalnych dążności, ich misyi cywilizacyjnej, do której z całą bezczelnością opryszka roszczą sobie jeszcze prawo.

W ręce nasze wpadł jakiś niemiecki „witzblatt", z którego reprodukujemy cykl rysunków, gdzie Niemiec przedstawiony jest jako słoń(!!) a ciemiężycielami jest Francuz i Anglik. „Słoń" oczywiście tryumfuje. Bazgrotom tym dodane jest równie poetyczne wierszydło, które w wiernym przekładzie przytaczamy:

„Słonia chcieli ująć zdradą,
Otoczyli palisadą:
W nienawistnym swoim szale
Francuz, Anglik wbija pale,
Bo mieć chcieli w swej chciwości
Cenny łup — słoniowej kości.
Lecz niestety zwierzę rośnie,
Żyć w niewoli mu nieznośnie
Palisadę — słoń olbrzymi
Zburzył w puch nogami swymi...

O! nie szukaj z silnym guza!...
Chwycił trąbą swą Francuza
I ku przerażeniu świata
Łapą swą Anglika zgniata
Teraz oto zuch i śmiałek
Dosiadł słonia nasz „Michałek"
W narodowej dumie swojej
Dziś — nikogo się nie boi!..."

Cyfry przy pojedynczych obrazkach oznaczają lata rozwoju owego „słonia" i doprowadzone są aż do r. 1963 — sięgają więc w dość daleką przyszłość niemieckiej... sławy i wielkości.



Krzyżacka pycha i jej poskromienie: Karykatura polityczna w jednem z niemieckich pism humorystycznych.

Niestety! przyszłość ta okazała się zupełnie inną niż Niemcy się spodziewali. Sprawiedliwość dziejowa spełniła swoje zadanie. Słoń niemiecki powalony, żebrze dziś łaski świata, który chciał zburzyć i w ruinę zamienić.



Co się dzieje z carskimi klejnotami koronnymi: Rosyjskie klejnoty koronne i komisya sowiecka, powołana do ich opieki i oszacowania.

Co się dzieje z carskimi klejnotami koronnymi.

Dużo się mówiło i pisało na temat, jaki los spotkał carskie klejnoty koronne, które po przewrocie dostały się w ręce bolszewików, a wiadomo, że rosyjski skarbiec był bardzo obficie zaopatrzony. Insygnia koronne, między niemi korona carska, ozdobiona wspaniałym rubinem i berło, zakończone słynnym brylantem „Orłów“, należącym do najwyższych z dotychczas znanych, przedstawiają już same milionową wartość, wraz z innemi precyozami, przechowywanemi w skarbcu carskim, ocenił je w r. 1898 francuski jubiler Fabergé na ośm milionów rubli, co przeliczone na dzisiejszą wartość pieniężną, dojdzie w każdym razie kwoty miliardowej. Fantastyczną przecież jest wiadomość, jakoby te klejnoty oceniano na sześćdziesiąt miliardów dolarów.

Utrzymywało się dotąd powszechnie mniemanie, że bolszewicy opróżnili już w zupełności skarbiec carski, zwłaszcza, że tu i ówdzie w Europie napotykano rozmaite klejnoty, które rozpoznano jako własność byłej carskiej rodziny. Niewątpliwie część tych skarbów poszła już w świat, najważniejsze przecież przedmioty znajdują się prawdopodobnie dotąd w Moskwie i czekają na swój los. Świadczy o tem zamieszczona przez nas w niniejszym numerze fotografia, przedstawiająca część klejnotów koronnych rosyjskich i komisyę sowiecką, mającą je w swej pieczy. Fotografię tę sporządzono niedawno w Moskwie, drogą na Amerykę dostała się ona obecnie do Europy, dając powód do przypomnienia ogółowi sprawy rosyjskich klejnotów koronnych. Wbrew amerykańskim twierdzeniom o wartości tych przedmiotów, podają pisma francuskie na ten temat swe rewelacye, utrzymując z całą stanowczością, że są one dotąd w posiadaniu bolszewików. Gdy sowiety zagarnąwszy władzę w swe ręce, zagrabiły także wszelki majątek tak publiczny i prywatny, wpadły w ich ręce klejnoty wartości ogółem około siedmiu miliardów franków, pochodzące tak z skarbca cesarskiego, jak i z prywatnych. Celem zajęcia się nimi i oszacowania ich wartości, powołali bolszewicy osobną komisyę, złożoną z sześćdziesięciu trzech osób, która tak energicznie zabrała się do dzieła, że trzeba ją było rozpędzić, część ukarać śmiercią, część zaś uwięzić. W jej miejsce powołano inną i ją to właśnie przedstawia nasza illustracya.

Pierwsze miejsce na stole zajmuje korona byłych carów, ozdobiona rubinem wartości kilkuset tysięcy franków, obok berło z „Orłowem“ ocenionym na dwa i pół miliona, gwiazda orderu św. Andrzeja i łańcuch z orłami z brylantów, jabłko koronne, korony carowej Katarzyny II. i Aleksandry, dyademy z pereł i brylantów i wszelkiego rodzaju inne biżuterye. Jest to oczywiście tylko część, co stało się z resztą, o tem mogłaby powiedzieć chyba jedna i druga komisya szacunkowa, ale one dochowają niezawodnie tajemnicy urzędowej.

Na podstawie tej fotografii wierzą Francuzi, że carskie klejnoty koronne są jeszcze do dnia dzisiejszego w Rosyi.



Z teatrów: Józef Węgrzyn w roli Zygmunta w „Sublokatorce“.

Z TEATRÓW

Józef Węgrzyn w „Bagateli“

Znakomity artysta warszawski p. Józef Węgrzyn występuje od szeregu dni gościnnie na deskach krakowskiej „Bagateli“, gdzie w głównej roli porucznika Zygmunta święci niebywałe tryumfy.

O wartości talentu artysty, jego indywidualności, o genialnem wprost wnikaniu w każdą stwarzaną kreacyę — dość się już rozpisywała prasa i my kilkakrotnie mieliśmy tę sposobność — by jeszcze raz się powtarzać.

Ograniczamy się więc na skonstatowaniu, że talent jego wciąż młodzieńczy, ciągle świeży — spotężniał jeszcze — i dla przyjemności (nie pana Józefa) lecz jego wielbicieli i... wielbicielek podajemy w dzisiejszym numerze podobiznę ulubieńca polskiej publiczności.

Kącik humorystyczny.

Facecye z dawniejszych czasów.

Wiedeńczycy odznaczali się wielką sympatyą ku domowi cesarskiemu, szczególniej zaś ku osobie Franciszka Józefa, sympatya ta istniała jednak tylko tak długo, jak długo dobrze się wiodło.

Gdy nadeszły lata wojny, a z niemi i bieda, w następstwie której brzuszyska poczęły opadać, żołądek wywarł wpływ na serce, „starego Franca“ zaczęto wyśmiewać i przedstawiać jako niedołęgę, zupełnie niepotrzebnie plątającego się po tym Bożym świecie.

Pewnego razu, w najkrytyczniejszych dla Wiednia czasach, gdy nieraz nie było co w gębę wsadzić, pewien przyjezdny, rozmawiając ze znanym sobie Wiedeńczykiem, zapytał:

— A cóż słychać z menażeryą w Schönbrunnie?

— Ani śladu z niej! — odpowiedział zagadnięty — wszystkie bestye wyzdychały już z głodu z wyjątkiem jedynie starego osła, którego nie wiem poco, utrzymują przy życiu sztucznymi środkami.

* * *

W czasie wojny przybył cesarz Wilhelm do Wiednia na konferencyę z Franciszkiem Józefem, który zapytał swojego gościa, do wielu też lat ma zamiar powołać ludność niemiecką pod broń.

— Do moich!... — odpowiedział Wilhelm.

— To i ja w Austryi powołam do moich lat — Franuś na to, zapominając, iż już przekroczył dawno ośmdziesiątkę.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył F. Kozicki, Zakopane.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Z liter środkowych, czytanych z góry na dół, dowie się Czytelnik, co dzisiaj u nas zajmuje opinię publiczną

■
– ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– ■ –
■



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Członek najbliższej rodziny, 3. Postać z „Pana Tadeusza“, 4. Narzędzie rolnicze, 5. Pismo święte u Turków, 6 Wehikuł, 7. Pobojowisko z roku 1871, 8. Miasto we Wschodniej Małopolsce 9 Polski pamiętnikarz, 10. Wyspa na morzu Śródziemnem, 11. Rodzaj poezyi, 12. Zdrojowisko w Niemczech. 13 Samogłoska

Grzebieniówka.

Ułożył S. Biliński, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. — Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko znanego rosyjskiego bolszewika.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
– – – – – –
– – – – – –
– – – – – –

Znaczenie wyrazów: 1 Tytuł władcy, 2. Płaskowzgórze w Azyi, 3. Oddział wojska, 4. Hrabstwo w Anglii, 5. Dopływ Wisły, 6. Imię męskie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. H. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę miasta, o którem obecnie dużo się mówi i pisze.

■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Wyspa na morzu Śródziemnem, 3 Angielska miara długości, 4. Rzeka w Europie, 5. Grecka litera, 6, Samogłoska.



Okienko.

Ułożył Franek z nad Rudawy.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a k k
k k n
n o o o o
o o s
s s y y w

Znaczenie wyrazów: 1) Poeta polski, 2) Współczesny polski minister, 3 Drzewo egzotyczne.

Kwadrat magiczny.

Ułożył X. Y., Biała.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a g g
i i l m
m m m n

Znaczenie wyrazów: 1) Inaczej związek 2) Duchowny mahometański, 3 Litera grecka, 4 Postać biblijna

Zgloskówka.

Ułożył J. Kurek, Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwisko i tytuł bardzo głośnej dziś osobistości.

Samuraj, wystawa, fabryka, kedyw,
Malbory, żaba, Zawisza.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego: „Pod Czerwonym Wirchem" (powieść); 2, Kalendarz kieszonkowy z notatnikiem na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 34

Logogryf: K, Don, Wanda, Pasek, Luter, brama, sanna, Patek, bryka, Sanok, brona, koper, jod, l.

Zgłoskówka: Koniec przesilenia.

Trójkąt magiczny: Strzelec, Tadeusz, Rawicz, złoto, Ezaw, lek, ex, c

Kwadrat magiczny. Koło, opar, Łada, Oran.

Okienko: Nowak, Warna, krata,

Zadanie do uzupełnienia: Kot, San, Don, lis, kęs, łuk, muł, Jan.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Zawadzki Kalwarya, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, Stanisław Bobek Kielce, W. Frotek Katowice, W. Krzemień Wilno, S. Dąbrowski Grudziądz, J. Cholewiński Tarnopol. Z. Koniecpolski Łódź, L. Winter Kraków, K. Kąs Lublin, J. Piotrowski Lwów, M Szczepański Trembowla, M. Motylewski Kutno. C. Kozłowski Warszawa, **A. Rusinko Stanisławów,** M. Lubicówna Kraków, B. Kalinowski Kutno, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Zakopane, J Morusowa, Jasło, D K. Barański Wilno J. Skowroński Tłumacz, Władysław Dudek Bydgoszcz. M Zielińska Lwów. B, Ertel Rzeszów, J. Cercha Miechów, B. Szypulska Wieliczka St. Müller Warszawa. **Mucha Józef Bochnia.**

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) **A. Rusinko Stanisławów.** powieść; **J. Mucha Bochnia.** (kalendarz) -- Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 100 mk.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Dr Witold Lipiński
ordynuje w chorobach
skórnych
i wenerycznych
Aleja Mickiewicza L. 14.
(róg ulicy Czystej)
od godz. 2—5 popoł.

Najtańszy Dom Eksportowy
IGNACY CYPRES Kraków, Szewska 13/N. l.



poleca po nadzwyczaj tanich cenach następujące towary: Zegarek z łańcuszkiem Mk 4500—, na kamienie Mk. 5500—, stalowy płaski na kamienie Mk 9000—, stal damski 7.500—, budzik Mk. 6.000—, zegar okrągły Mk. 7000—, zegar ścienny Mk. 6.000—. Przy zamówieniu połowę zadatku, resztę za pobraniem Za nieodpowiednie zwracam pieniądze Cennik illustr. za nadesłaniem Mk. 90 przekazem.

„HUMOR POLSKI"
Dwutygodnik humorystyczny
polityczno-satyryczny.
Cena egz. 100 Mk.
Adres Redakcyi i Administracyi
Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.

„DZIATWA POLSKA"
dwutygodnik illustrowany.
Pismo dla dzieci.
Wychodzi
1 i 15 każdego miesiąca
Adres Redakcyi i Administracyi:
Kraków, ul. Kazimierza W. 95.
:—: Telefon Nr. 479 :—:

Księga pamiątkowa wielkiej wojny
Jest do nabycia w Admin. „Nowości Illustr."

Nowości wydawnicze! Wacław Grabiański Nowości wydawnicze!
PRZESILENIE — Dramat w 3-ch aktach.
DWIE NOWELE — (Stary rybak. Sprawiedliwości)
Kraków, Gebethner i Wolff. 1922.

WYJĄTKI Z RECENZYJ.

..„Przesilenie" daje poznać ciekawy wysiłek stworzenia dramatu politycznego, rzuconego na szersze tło spraw społecznych. Zamierzenie niezmiernie trudne przeprowadza autor ze znaczną kulturą literacką i publicystyczną. W dziedzinie twórczości na polu dramatu jest „Przesilenie" zjawiskiem oryginalnem i ciekawem. „Nowa Reforma" Kraków, Nr. 13; 16 stycznia 1922.

...Akcya toczy się współcześnie, a obfituje w szereg scen o silnem dramatycznem napięciu często graniczącem z tragizmem... „Kurjer Warszawski" Warszawa, Nr. 34, 3 lutego 1922.

...W zawiązaniu i przeprowadzeniu sztuki znać wybitny nerw sceniczny. Język mocny i zwięzły sprawia, że utwór czyta się miło i z zainteresowaniem... „Głos Narodu" Kraków, Nr. 91, 22 kwietnia 1922.

.. Najcharakterystyczniejszym dla nowel Grabiańskiego jest symbol: „Stary rybak" jest symbolem idei-siły, która trzyma człowieka przy życiu, zas w „Sprawiedliwości" widzimy obraz walki gminu ze wszystkiem, czego nie zdolny jest objąć rozum człowieka; i czego wiara nie zamyka w sobie... „Głos Narodu" Kraków, Nr. 91, 22 kwietnia 1922.

Tegoż autora: Wojenny Balonik (Bajki i nie-bajki)
Piekło (Szkice z wojny)
Rymy i proza.

Zakład Kredytowy Miast Małopolskich
(Bank dewizowy)
Kraków, Rynek 34, Pałac Spiski
przyjmuje wkłady na książeczki i rachunki bieżące — załatwia wszelkie czynności bankowe — przekazy — akredytywy — kupno walut.
Zakład ponosi z własnych funduszów opłaty stemplowe i podatek 10%-owy.
Godziny kasowe od 9—1.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego